

Przeszkody w postępie duchowym



o. Frederick Faber

Zdawałoby się żeśmy już jasno nakreślili naszą marszrutę i znamy wszystkie wskazówki co do służby Bożej. Odbiliśmy od przystani, lecz jakże to wytłumaczyć, że w miejscu stoimy? Widzimy innych, jak mkną pełnymi żaglami, a nasze płótna zwisają beczynn timer. Może to bliskość brzegu działa tak hamująco, a może co innego, w każdym razie to pewna, że nie chwytny wiatru. Ta sama skarga zjawia się u wszystkich dusz w tym okresie. Coś im przeszkadza w postępie, sami nie wiedzą co. Naszym zadaniem będzie teraz odsłonić te tajemnicze przeszkody i podać sposób ich zwyciężania.

Pierwszym naszym krokiem będzie poznać objawy, zdradzające, iż nie wszystko u nas w porządku. Przede wszystkim czujemy, że brak nam sił do odpierania pokus, do wytrwania w umartwieniu, do sumienności w praktykach pobożnych. Brak nam zrównowżenia w niespodzianych wypadkach, w odmianach losu, w doświadczeniach, w wykonywaniu naszych obowiązków zewnętrznych bez uszczerbku dla pobożności i życia wewnętrznego. Przy tym odczuwamy brak wewnętrznego światła. Nasze rachunki sumienia bywają jakies niejasne i mgliste. Rośnie skłonność do skrupułów i małostkowości, zdaje się, że tracimy światło Boże, które nam przedtem jaśniało i przy całej swej szczupłości było nam prawdziwą pochodnią. W naszej walce duchowej jawi się jakaś chwiejność, czujemy potrzebę większej określoności i większej stanowczości. Do tego zaś dołącza się pewien rodzaj

ospałości, która na kształt sennej zmory nad nami ciąży.

Coś musi być w nieporządku, to jasne; ale co? Mogą tu zajść trzy braki, z którymi trzeba się liczyć: brak siły, brak zrównowżenia, brak światła wewnętrznego. Pochodzą one z różnych przyczyn. Częściowo będzie to wynikiem nadmiernego baczenia na siebie i śledzenia zjawisk, zachodzących w naszej duszy w tym wczesnym okresie życia duchownego. Śledzenie siebie jest zawsze rzeczą niebezpieczną, nawet gdy jest konieczne i dlatego nigdy nie powinno być stosowane bez zażycia jakiejś odtrutki. Znajomość siebie jednocześnie jest łaską, potrzebą i błogosławieństwem, przy tym jednak nie przestaje być niebezpieczną, gdyż z natury swej jest skłonna do schodzenia na grunt nierealny, czułościowy, drażliwy, zwłaszcza zaś do tego, co w życiu duchownym jest najbardziej cklewe, do przeczulenia.

Inną przyczyną wspomnianych braków może być niedostatek ćwiczzenia się w wierze. Kierowaliśmy się więcej uczuciem, słodyczą, pociągami, niż wiarą; toteż skoro nauczyliśmy się na miejscu Boga stawiać dary Boże, gdy oczy nasze przywykły do tych jaskrawych i sztucznych światełek, nic dziwnego, że źle się czujemy w łagodnym półmroku chrześcijańskiego życia.

Jeszcze inną przyczyną mógł tu być brak starania o zharmonizowanie się z duchem Kościoła, zaniedbanie lub zlekceważenie pewnych nabożeństw, bractw, szkaplerzy, odpustów i in.

Albo też może przedmioty wiary ujmowaliśmy przez pryzmat zanadto osobisty, starając się zbyt wyłącznie i zbyt niespokojnie o swój postęp, a nie opierając go o naukę Kościoła, co zawsze odbija się na nas fatalnie. Nic nie jest szatanowi bardziej na rękę niż takie nieteologiczne nabożeństwo. Lub wreszcie może błąd nasz tkwi korzeniami w zaniedbaniu zewnętrznych dzieł miłosierdzia i dobrego przykładu oraz troski o poprawny stosunek do bliźnich.

Widzimy stąd, że owa tajemnicza przeszkoda naszego postępu zasadza się na trzech błędach, popełnianych w życiu wewnętrznym i dwu, napotykanym w naszym życiu zewnętrznym. Obecny rozdział poświęcimy rozważaniu trzech pierwszych, czwarty i piąty odkładając do rozdziału następnego.

1. Nie jest rzeczą niemożliwą, iż przeszkodą postępu jest nam **brak nabożeństwa do Matki Najświętszej**. Bez tego nabożeństwa życie duchowe jest niemożliwe, gdyż nasze życie wewnętrzne musi być zgodne z wolą Bożą, a wola Boża w Maryi się skryształizowała. Ona rękojmią rzetelności naszego nabożeństwa. Zbyt mało się temu poświęca uwagi. Zwłaszcza początkujący zwykli się zatapiać w metafizyce życia duchownego, nie doceniając należycie tego nabożeństwa. Wskażę na niektóre względy, których oni zdają się zazwyczaj nie brać sobie do serca.

Nabożeństwo do Bogarodzicy to nie jakaś ozdóbka systemu katolickiego, jakaś zbyteczna przystawka czy choćby nawet i pomoc, jedna z wielu, z której można korzystać lub nie. To część integralna chrześcijaństwa. Religia bez Maryi, ściśle biorąc, nie jest chrześcijańską. Nic nie ma wspólnego z religią objawioną. Stanowisko Maryi jest wyraźną wolą Bożą. Ją Bóg uczynił łożyskiem swej łaski, o czym świadczy najlepiej ta świadoma nienawiść złego ducha i te instynktowne uprzedzenia wszystkich herezji przeciwko Niej. Ona jest kośćcem mistycznego ciała, łączącym wszystkie jego członki z głową i tworzącym przewód, rozprowadzający wszystkie łaski po całym ciele. Nabożeństwo do Niej jest prawdziwym naśladowaniem Jezusa; albowiem obok chwały Ojca było ono najbliższym i najdroższym Jego świętemu Sercu.

Jest to nabożeństwo rzetelne, gdyż jego nieustanną dążnością jest znienawidzenie grzechu, a nabycie cnót gruntownych. Zaniedbać je znaczy tyle co wzgardzić Bogiem, którego wolę ono wyraża i zranić Serce Jezusowe w Jego miłości dla swej Matki. Sam Bóg dał Jej w Kościele osobną władzę; dlatego jest Ona prawdziwą Wspomożycielką, źródłem cudów i

częstką naszej religii, której nam lekceważyć nie wolno.

Życie duchowne musi być prawowierne. To jasne. Nie ma mowy, by prawowiernym mogło być zapatrywanie, pomijające stanowisko i przywileje Matki Bożej; podobnie i życie duchowne przestaje być prawowierne z chwilą, gdy się odłączy od tego nabożeństwa równie słusznego jak i szlachetnego.

Błąd w poglądach dwakroć niebezpieczniejszy się staje, gdy przeniknie do życia duchownego. Zatrzuwa on wszystko i nie ma nieszczęścia, którego nie musiałaby się obawiać dusza nim zarażona. Jeśli więc napotkasz objawy, iż coś jest u ciebie niedobrze, że ci coś przeszkadza, zbadaj przede wszystkim swe nabożeństwo do Matki Najświętszej, czy mu czego nie brakuje, bądź w sposobie ujęcia i stopniu natężenia, bądź w wierze i ufności, bądź w miłości i wierności. Doskonałość pozostaje pod Jej szczególną opieką, gdyż jest to Jej przywilejem, jako Królowej Świętych.

2. Może to być również **niedostatek nabożeństwa do Świętego Człowieczeństwa Jezusowego** i Jego tajemnic. Chciejmy temu wierzyć – nic w tym niemożliwego ani nadzwyczajnego. Któż bowiem mógłby wątpić, że nabożeństwo to, jakkolwiek nie porywa nas na najwyższe szczyty kontemplacji, jest prawie nieodzowne w rozważanym przez nas okresie życia duchownego? Musi ono przenikać wszystkie dziedziny życia chrześcijańskiego; w przeciwnym razie chrześcijaństwo zostanie tylko pustym dźwiękiem.

Chrystus jest drogą chrześcijanina, jego prawdą i jego życiem. Wieść życie święte znaczy być oblubieńcem Wcielonego Słowa, dlatego miłość Słowa Wcielonego jest prawdziwym sercem świętości.

Istnieją trzy rodzaje miłości Świętego Człowieczeństwa; jeden daje wyraz uczuciom wewnętrznym dla naszego Pana, drugi dowodzi ich szczerości i rzetelności, trzeci jest skutkiem działania samego Jezusa w duszach, wystarczająco dobrze

usposobionych. Zależnie od tego noszą one nazwę miłości uczuciowej, miłości czynnej lub miłości biernej.

Miłość **uczuciowa** naszego ukochanego Pana polega na żywym pragnieniu Jego chwały, na radosnym zadowoleniu z pomyślnego stanu Jego Boskich interesów, na odczuwaniu szlachetnej boleści wobec grzechu. Pod jej wpływem wylewamy całą naszą duszę w ufności przed Nim, bolejemy nad swą oziębłością i niedoskonałością, przedkładamy Mu nasze troski, słabości, zawody, doświadczenia i ze spokojną, dziecięcą beztróską powierzamy Mu wszystko.

Miłość **czynna** zamienia nas w żywe obrazy Jezusa, odtwarzające w naszym życiu Jego przejścia, Jego tajemnice i Jego cnoty. Zewnętrznie wyrażamy to Jego podobieństwo przez ciągłe umartwienie, przez ujmowanie i zmniejszanie wygod ciała, przez straż zmysłów, przez pogardę przesadnych żądań świata i otoczenia, przez niemal zazdrosne miarkowanie niewinnych zresztą uczuć i przyjemności oraz przez nieustanne tępienie wszelkiej próżności i zarozumiałości. Nasze życie wewnętrzne upodabnia się do Jezusowego przez wolność ducha, którą daje oderwanie się od stworzeń i zgodność z Wolą Bożą. Nasze postępowanie zewnętrzne nosi Jego pieczęć na sobie wyciśniętą, gdyż działamy jako Jego członki i wszystkie nasze czyny winny pozostawać w zależności od Niego, zgodnie z głosem Jego natchnień.

O miłości **biernej** mówię tu nie w tym celu, iżbym sądził, że jej miejsce, w zwykłym rzeczy porządku, było w tym okresie życia duchownego, lecz raczej dla obudzenia tęsknoty za dniem, w którym nam ona zabłyśnie. Zawsze to rzecz pokrzepiająca wiedzieć, jak blisko będziemy Jezusa jeszcze w tym życiu, jeśli się Bogu spodoba. Pierwszym Jego dziełem podczas tego nadprzyrodzonego stanu w duszy naszej bywa zranienie naszego serca strzałą miłości, tak iż tracimy smak w jakiegokolwiek rzeczy, która by nie stała w związku z Nim. Zdawałoby się wówczas, że nowa jakaś natura nam przypadła w udziale, tak dalece się odróżniamy od świata, nas otaczającego, że niemal

schniemy z tęsknoty za własnym żywiołem.

Z czasem ta rana się pogłębia, nasycając miłością wszystkie nasze myśli, uczucia, słowa i czyny, tak że jak owa Oblubienica z Pieśni, nie możemy się już oglądać za czymkolwiek poza Nim. Jego miłość przygasza wszelką inną miłość, myśl o Nim przesłania wszelką myśl inną, tak że cokolwiek nie wiąże się z Nim, zacierza się i ginie z naszej pamięci, jak gdyby nigdy tam nie zaistniało. Jezus bierze dusze nasze w swe wyłączne posiadanie, tak że żyjemy już nie my, ale On w nas. Wówczas ogarnia nas ogień miłości bez granic, która nas wiedzie do czynów bohaterskich i do nadprzyrodzonego zjednoczenia z Nim, pogłębiając w nas równocześnie poczucie własnej lichoty i nicości, napełniając nas żalem na widok ospałości naszej służby i twardości serca.

Wreszcie wtrąca nas Jezus w stan oczyszczającego cierpienia, barki nasze obciąża nieustannym krzyżem, największym naszym pragnieniem staje się cierpieć więcej, największą zaś obawą – cierpieć mniej. Tak odrywa nas od nas samych i przemienia w siebie. Lecz do chwili tej droga daleka. Sięgnij okiem, czy dojrzysz jej kres. Nie wiem, czy rzeczywiście wybiegasz myślą ku tym wyniosłym szczytom, na których się to wszystko dokonywa. Ale bądź dobrej myśli! Poznać choćby rzeczywiste istnienie tych wyżyn, to też coś znaczy.

Trudno pojąć, ile korzyści odnosimy z tego ćwiczenia się w miłości Wcielonego Słowa. Serce wyzwala się od stworzeń; samolubstwo wypala się i gaśnie; niedoskonałości znikają; dusza napełnia się duchem Jezusa i zdąża krokami olbrzyma na drodze doskonałości. Jeśli więc żagle twe z braku wiatru obwisły, zastanów się, czy twoja miłość ku chwalebnej Osobie Zbawiciela i Jego świętemu Człowieczeństwu jest taka, jaką być powinna, jak ją rozumie i jakiej się domaga Jezus, czy też może nie brak nam ustawicznego starania, by ciągle w niej wzrastać.

3. Trzecim niedostatkim, a jestem skłonny przypuszczać, że i najpospolitszym, może być **brak synowskiego usposobienia względem Boga**. Pragnę to podkreślić mocno i niedwuznacznie, gdyż dużo od tego zależy. Jeśli nasze spojrzenie ku Bogu nie będzie zawsze i niezmiennie spojrzeniem dziecka ku ojcu, cała nasza pobożność będzie spaczona i wykoszlawiona. Popadniemy w przekleństwo, o którym mówi Prorok, iż będziemy brać gorzkie za słodkie, a słodkie za gorzkie.

Nasz stosunek do Boga jest stosunkiem stworzenia do Stwórcy. Stąd płyną dla nas pewne konsekwencje. Należymy bezwzględnie do Niego. Nie mamy żadnych praw prócz tych, które On litościwie raczył nam zastrzec w swoim Zakonie. Nasze życie jest jedną jałmużną z ręki Opatrzności, która jest nie tylko zewnętrznym biegiem wypadków, lecz wyraźną wolą jedyne go w Trzech Osobach Boga.

Nasza dola w życiu przyszłym jest Mu już teraz zupełnie znajoma; my zaś z naszej strony wiemy, iż więcej łask potrzebujemy, niż On obowiązany jest nam dawać, choć możemy być całkowicie pewni, że tych łask nam On nie poskąpi, byle tylko z naszej strony było należyte współdziałanie z łaskami, któreśmy już otrzymali.

Ta ostatnia uwaga nie przygłusza całkowicie niepokoju, jakim nas napawa całkiem naturalnie nasze położenie. Wzgląd na Boskie przymioty, na Bożą wszechwiedzę, wszechmoc, nieskończoność i niewymowną świętość bynajmniej nie przyczynia się do osłabienia tego uczucia lęku. Niemniej jednak przekonanie, iż duch adoracji, postawa uwielbienia, instynkt religijności polega na odnoszeniu się do Boga w uczuciu, mówieniu i działaniu, jak przystało na stworzenie, istotę pozbawioną samoistności lecz wydzwigniętą z nicości przez Niego, – jest tak dalekie od rzucania na nas jakiegoś cienia smutku czy wewnętrznego niepokoju, że właśnie przeciwnie, im poważniej te prawdy przyjmą się w duszy, im zupełniej uznamy władztwo Boga nad nami, tym spokojniejszy i bardziej kojący będzie ich nadprzyrodzony skutek.

Jednakowoż ten spokój nie od razu zwykł występować i nie prędzej, nim umysł się oswoi i zżyje z myślą religijną. Wskutek naszej słabości oraz przekraczającej nasze pojęcie nieskończoności i wszechpotęgi Bożej skłonni jesteśmy wszystko inne w Bogu widzieć, tylko nie ojca.

Życie zaś duchowne zależy całkowicie od naszych pojęć o Bogu. Jeśli upatrujemy w Nim tylko Pana naszego, wówczas służenie Mu staje się naszym zadaniem, a myśl o nagrodzie lub karze przenika nasze czyny. Jeżeli ujrzymy w Nim tylko naszego Króla, głowy nasze muszą się schylić przed niewątpliwymi prawami Jego niezaprzeczonego jedynowładztwa, a myśl o sumiennej wierności owładnie całkowicie naszym sercem. Jeśli spostrzeżemy w Nim tylko naszego Sędziego, grzmot Jego pomsty uczyni nas głuchymi na wszystko inne, straszliwa dokładność Jego sądów zamknie nam usta, a olśniewający blask Jego Świątości oślepi nasze źrenice.

Czy więc w tym, czy owym świetle, czy we wszystkich naraz nań się zapatrujemy, zawsze oczywiście i nasza dla Niego służba odpowiednio zabarwienie przybierze. Twardość, oschłość, nieumiarkowana bojaźń i świadomość swej niemożności powoływania się na jakiegokolwiek własne prawa z konieczności nas onieśmielają i poniżają, czyniąc nas pełzającymi najemnikami, wiecznie płaczącymi a bez należytego uszanowania względem Boga.

Jednak może się zdarzyć, że nawet odnosząc się do Boga jako Stwórcy, pozostaniemy złymi. Możliwy jest bowiem pogląd, że Stwórca ten jest Bytem niezależnym, wiecznie samoistnym, wskrzeszającym stworzenia z otchłani nicości, jako Pierwsza ich Przyczyna, jedynie dla własnej przyjemności i równie mało o nie się troskającym, jak mało jest im zobowiązany.

Wszakże, moim zdaniem, być stwórcą znaczy tyle zarazem, co być ojcem. Albowiem już sama woła powołania do bytu jest wpływem dziwnego uczucia ojcowskiego. Bóg więc nie tylko jest naszym Ojcem i Stwórcą zarazem, lecz jest właśnie dlatego

naszym Ojcem, że jest Stwórcą naszym. Zatem i rozumne stworzenie tym samym, że jest stworzeniem, jest też dzieckiem Bożym. Dlatego z pierwszym już wyjściem z nicości zadzierzgamy węzeł synostwa.

Stworzenie jest raczej dziełem dobroci, niżli potęgi czy mądrości. Gdybym o Bogu nie wiedział nic więcej ponad to, że jest mym Stwórcą, to już wystarczyłoby mi, by poznać w Nim mego Ojca. *“Qui plasmasti me, miserere mei – Któryś mnie ukształtował, zmiłuj się nade mną”*, błagali przez całe swe życie pokutnicy pustyni. W tej modlitwie dźwięczała nuta pewnego uprawnienia do żądania od Boga miłosierdzia i dlatego przy całej swej pokornej niepewności taką ich napawała otuchą.

W każdym razie nie ma prawdy pewniejszej nad tę, że Bóg jest naszym Ojcem i że co tylko jest najczulszego i najszlachetniejszego w ojcostwie ziemskim, to jeno nikły odbłask niewymownej słodyczy i czułości Jego ojcostwa w niebie. Piękno i pociecha tej myśli przewyższa wszelkie słowo. Ona rozprasza uczucie samotności na świecie i w całkiem nowym świetle stawia kary i utrapienia nasze. Samo poczucie własnej słabości przy niej wywołuje pociechę, zwracając naszą nadzieję ku Bogu nawet tam, gdzie już sami poradzić nie możemy i uświadamiając nam nasze węzły z bliźnimi. Ta myśl nami owłada i staje się głównym motywem naszego postępowania w życiu duchownym. Ona krzepi nas w skrusze, ożywia w sakramentach świętych, wiedzie do umiłowania doskonałości, wspiera w pokusie, raduje w cierpieniu. Wszak On jest naszym Ojcem we wszystkich wydarzeniach codziennego życia, w tysiącu nieszczęść, przed którymi nas chroni, w wysłuchiowaniu modlitw, w błogosławieniu naszym ukochanym i w znoszeniu nas samych, w przebaczeniu nam tej oziębłości i niepoprawności, która nieraz nas samych zadziwia.

Jest naszym Ojcem nie tylko z imienia, lecz w czynie. Jak rzekłem, ten węzeł zadzierzga się przez stworzenie. Stwórca żywi ku swemu stworzeniu dziwnie czułą miłość, z którą nic ziemskiego nie może iść w porównanie, ani pod względem

wyrozumienia ani delikatności. Owszem, On raczył nasze interesy uczynić swoimi i stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje, tak że jesteśmy odbłaskiem Jego Boskiego Majestatu. Bóg jest naszym Ojcem również na mocy swego przymierza, a ponieważ zawsze dotrzymuje swoich przyrzeczeń, ten nowy tytuł ojcostwa jest równie rzeczywisty jak inne. Lecz ponad wszystkie węzły natury, łaski i chwały, które nas czynią Jego dziećmi, Bóg jest naszym Ojcem w sposób dla nas niezgłębiony przez to, że jest Ojcem Pana naszego Jezusa Chrystusa.

To synowskie usposobienie względem Ojca niebieskiego koi nasze niepokoje co do popełnionych grzechów. W słodkim uczuciu ufności składamy w Jego ręce nawet naszą niepewność co do rozstrzygnięcia o naszej doli w wieczności. Cieszymy się wolnością ducha w czynnościach obojętnych oraz żarliwym pragnieniem służenia Mu w duchu synowskiej miłości. Do tego dołącza się słodkie zapomnienie o sobie, radość z modlitwy, cierpliwość w wątpliwościach, spokój w obliczu przeszkód, pogoda w doświadczeniach i poddanie bez żalów w opuszczeniu. Wielbimy Boga za Jego błogosławioną miłość, gdyż mamy w Nim najdroższego Ojca. Myśl ta na kształt słonecznego promienia pada w dusze nasze, rozszczepiając się na ufność w Bogu, swobodę w obcowaniu z Bogiem i wielkoduszność dla Boga!

Zatrzymałem się nad tym, gdyż jest rzeczą niezmierniej wagi, byśmy byli do głębi przejęci prawdziwym duchem ewangelicznym; tak częsty zaś jego brak u ludzi pochodzi częścią stąd, że ludzie nie pamiętają każdej godziny dnia, iż nasz Zbawiciel jest Bogiem, częścią z pojmowania Boga nie jako Ojca a dawania pierwszeństwa pierwiastkom bardziej surowym. Duch Ewangelii jest pełen miłości, trzy zaś przeze mnie wyliczone braki: nabożeństwa do Matki Najświętszej, do świętego Człowieczeństwa Jezusowego i do Boga jako Ojca, są zarówno skutkiem niedostatku tej miłości, jak i przyczyną, która go podtrzymuje. Tu kryje się wielka przeszkoda. Mimo rycerskiego pragnienia doskonałości, mimo opuszczenia świata, mimo całego szacunku dla rzeczy wyższych, twoje oczekiwanie postępu

sprawia ci zawód. Już prosiłem, byś zbadał swe nabożeństwo do Najświętszej Bogarodzicy, do Chrystusowego Człowieczeństwa i do Bożego Ojcostwa. Niechże wolno mi będzie teraz podkreślić inną stronę.

Brak tych trzech rzeczy oznacza istotnie niedostatek ciepła, lecz nie na tym koniec. Brak tego uczucia bywa często przyczyną zastoju w nabywaniu świętości w ogóle. Dlatego warto o nim pomówić nieco więcej. Może ktoś być w pewnym sensie religijnym: bać się Boga, nienawidzić grzechu, być sumiennym, szczerze pragnąć zbawienia duszy. Wszystko to chwalebne. Ale nie można powiedzieć, by Święci byli ludźmi tego pokroju.

Oni odznaczyli się nadto pewną słodyczą, łagodnością, delikatnością, rycerskością, wspaniałomyślnością, jakąś – rzekłbyś – poezją, wyciskającą całkiem odmienne piętno na ich pobożności. Byli żywymi obrazami Jezusa. Otóż, tym samym, choć w niższej mierze, musimy się starać być i my, jeśli mamy postąpić w świętości.

Przez miłość nie rozumiem tu czystej wrażliwości, miękkości serca czy skłonności do łez, które zazwyczaj są oznaką mazgajstwa, lenistwa, braku stanowczej woli i należytej powagi. Ciepło, o którym mówię, obiera różne drogi. Jego postępowanie znamionuje skrucha za grzechy, nie myśląca o karze, to co nazwałem przejęciem się interesami Jezusa, dziecięca powolność dla naszych przełożonych i kierowników duchownych, umartwienie siebie, nie odczuwane jako jarzmo, nie poprzestawanie na samych przykazaniach, ale stosowanie rad ewangelicznych, wreszcie początkowo słabe, lecz z wolna rosnące zamięłowanie upokorzeń.

W miarę jak miłość zapanowuje w duszy naszej, zjawiają się w jej orszaku wszystkie znamiona świętości. Miłość bowiem jest większą ochroną przed grzechem niż bojaźń, a jej działanie dopełnia naszego nawrócenia do Boga, czyniąc je łatwiejszym i zupełniejszym. Ona szczególnie pociąga Jezusa, z którego ducha sama się wywodzi i który nie pozwoli się przewyższyć w

słodocy.

Bez tej miłości nie ma postępu; ona to ułatwiając nam obowiązek i udoskonalając jego wykonanie, wypracowuje w nas szczególnie chrześcijańskie skłonności, jak miłość cierpienia, milczenie wobec niesprawiedliwości, pragnienie upokorzeń i miłość. Ona przede wszystkim pogłębia żal za grzechy, przetwarzając go w skruchę, nad którą nie masz daru droższego dla duszy pokutującej.

Spojrzyj na okoliczności towarzyszące tajemnicy Wcielenia, co tam ujrzysz? Nieporadność, niekonieczne i niewymagane cierpienie, ofiary, uniżenie, ciągłe niepowodzenia, ustępowanie ze swoich praw, obojętność na powodzenie, wreszcie najstraszliwszą krzywdę. I czymże odpowiemy na to wszystko, jeśli nie sercem?

Ta miłość serdeczna wionie ku nam ze świętego Dzieciństwa, wionie z Męki, wionie z Tajemnicy Ołtarza, wionie nade wszystko z Serca Jezusowego. Przyjrzyj się życiu Jezusa z ludźmi, a obaczysz jak wygląda prawdziwa miłość.

Pierwszym jej przykładem jest sama Jego Boska Osoba. Odsłania nam ją opowiadanie o wypadkach Palmowej Niedzieli. Tę delikatną miłość ukazuje Jego obchodzenie się z uczniami, Jego postępowanie z grzesznikami, Jego stosunek do smutnych i strapionych, z którymi się spotkał. *Lnu kurzącego On nie zdusi, a trzciny nadłamaney nie skruszy*, – oto dokładny Jego obraz. Łagodność błyszczała w tym wzroku, który na pierwsze wejrzenie ukochał był młodzieńca i zniewolił serce Piotra. Obcowanie z Nim tchnęło miłością.

Ton Jego przypowieści i kazań, obcy wszelkim pogróżkom oraz otchłań przebaczenia, którą przed nami otwiera, są tego dowodem.

Ta sama miłość dźwięczy w Jego odpowiedzi na zarzut opętania przez szatana, co i na policzek Mu wymierzony.

Ta sama miłość brzmi w Jego naganie – świadkiem niewiasta cudzołożna, Jakub i Jan, Samarytanin i Judasz; jej też wyrazem było zarówno powściągnięcie onych dwóch braci, którzy chcieli miasto nikczemne Samarytan zniszczyć ogniem z nieba, jak i ujmująca łagodność, nie opuszczająca Go nawet w chwili świętego oburzenia na kupczących w świątyni.

Jeśli więc zalisz się na przeszkody, tamujące bieg twego życia wewnętrznego, wskazujące na jakiś brak w uczuciu czy w praktykach pobożnych, zaprawiaj się w nabożeństwie do Matki Najświętszej, do świętego Człowieczeństwa Jezusa i do Bożego Ojcostwa, a ujrzysz skutek. Weź sobie te trzy rzeczy do serca, a żagle twe przestaną zwisać beczynn timer na rejach.

Źródło: o. F. W. Faber, *Postęp duszy, czyli wzrost w świętości*, Kraków 1935.